ROK I. ŚRODA. 29 CZERWIEC. 1842.

Roczniki krytyki literackiej wychodzą dwa razy w tydzień, we Środę i w Niedzielę, w objętości dużego pół arkusza. Numerów pięćdziesiąt i dwa, czyli jedno półrocze, stanowić będzie Tom; — dwa Tomy stanowią całość.

Przedpłata roczna wynosi R s. 5, k 40 półroczna R. s. 3, kwartalna R. s. 1 k. 80 — Prenumerować można: W Redakcyi Roczników krytyki literackiej, przy ulicy Tłomackie Nr. 739 w pałacu dawniéj Ossolińskich,

№er 50.

w officynie na 1szém piętrze; U osób prywatnych które się tem zajmować raczą; We wszystkich znaczniéjszych księgarniach w kraju i za granicą; Na Urzędach i Stacjach Pocztowych w królestwie; lecz tam jedynie za przedpłatą roczną lub półroczną. Szan: Prenumeratorowie w Warszawie mieszkający, na żądanie nadesłane sobie mieć będą Roczniki do mieszkań swoich bez żadnéj nadpłaty.—

ROCZNIKI KRYTYKI LITERACKIEJ.

REDAKTOR GŁÓWNY: FR. HENRYK LEWESTAM.

POWIEŚCI LUDU

spisane z podań przez Karola Balińskiego. Wyboru i wydania K. Wł. Wojcickiego.— Warszawa 1842.— in-8vo str. 160.—

»Podania gminne stały się ważnym i prawie jedynym żywiołem dzisiéjszéj literatury. Podania dziś dostarczyć mają tego, czego dawniéj dostarczały mitologia starożytna, ich dzieje, i t. d.» — przywiodłszy te i inne jeszcze słowa J, J, Kraszewskiego w swojéj przedmowie szanowny Wydawca niniejszego zbioru, i uprzedzając niejako widoki krytyka, powiada iż krytyka wskaże właściwą tych tu *powieści ludu* wartość, nie co do głównéj myśli i podstawy, bo te są własnością ludu, ale co do sposobu wiernego spisania tych starodawnych podań.— My wszakże, pomimo tak wytkniętych nam krytycznych szranków przez P. Wojcickiego, nie o samym tylko sposobie oddania tych gminnych gadek, co jest robotą ogłosiciela, ale o ich własnéj wartości w stosunku do literatury, co jest ich istotą, parę słów powiedzieć czujemy się obowiązani. A najprzód, wyznajemy iż podzielamy zupełnie z P. Kraszewskim i wszystkiemi nowoczesnemi myślicielami zdanie o ważności podań ludu uważanych jako obfite źródła pojęć i farb artystowskich, mających się przelać w nowoczesną literaturę podług przyjętej dziś wszędzie zasady narodowości; ale chcemy się pierwéj porozumieć względem znaczenia wyrazu *podanie*. Podanie, tradycja, według nas, jest to przechowująca się u ludu wieść o zaszłych w pewnym czasie i miejscu wypadkach, a to drogą ustnych opowiadań przekazywanych od wieków z ojców na synów. Takowe tedy podania, tak dla wielkiéj odległości czasów w których się urodziły i nieskończonéj liczby ust przez jakie aż do nas przeszły, jako też dla ciemnoty, przesądów ludu i właściwéj nawet każdemu opowiadaczowi fantazyi, przerodziły się na dziwaczne i niekiedy niepodobne do uwierzenia baśnie; ale te tradycyjne baśnie, mają wszakże tę na sobie szczególną cechę iż wystawiają rzecz jako *istotnie mającą w przeszłości miejsce*, jako zdarzenie prawdziwe, do którego gmin-opowiadacz i gmin-słuchacz w swojéj prostocie ducha zupełną przywiązują wiarę: to jest *historja* gminna, z któréj śledzący rozum badacza odrzuciwszy to co jest dodatkiem prostoty, przesądu i czasu, odsłoni rzeczywiste szczęty starodawnych zdarzeń, które do dziejowego i poetycznego malowidła przeszłości nie małéj wagi dostarczą farb i narysów. Tego rodzaju podaniami są np. tradycje o Krakusie, Wandzie, Walgieru, i. t. p.— Ale gmin obok takowych podań, lubi jeszcze

opowiadania zmyślone umyślnie dla swojéj tylko zabawy baśnie, skazki, bajki, do których sam żadnéj nie wiąże wiary, ale w nich tylko szuka chwilowéj rozrywki śród długich wieczorów zimowych przy pracy ręcznéj: to jest *poezja* gminna, któréj źródło leży w téj niepojętéj ale istotnéj własności ludzkiego umysłu, iż lubi i ze szczególną miłością lgnie duszą do obrazów rzeczy i przygód nadzwyczajnych, cudownych, i napawa się rozkoszą przez zjednoczenie się uczuciem z uczuciami bohaterów stworzonych swobodnym ruchem fantazji. Ten powszechny przymiot ludzkiego ducha jest znamieniem szczeroty i umysłowego dziecińnstwa ludów, i pod różnemi postaciami, objawia się wszędy gdzie uczucia i imaginacja są silne a rozum jeszcze w kolebce, tak w spiekłych pustyniach Arabji pod cieniem palmy, jako i nad brzegami Dniepru lub Wisły przy płomieniu kominka. Ponieważ więc tego rodzaju baśni to właśnie jest charakterystyczną cechą, iż naumyślnie wystawiają niestworzone rzeczy tak jak nigdy i nigdzie na świecie rzeczy się nie dzieją i dziać nawet nie mogły, tedy mogą one być dla niektórych myślicieli dość ciekawym wizerunkiem szczególnego obrotu fantazji u pewnego ludu w pewnym czasie i miejscu, ale dla malarza dziejowéj i uczuciowéj rzeczywistości, na nic się prawie nie zdadzą. Inaczéj się całkiem rzecz ma z gminnemi pieśniami; bo w pieśniach sama właśnie forma, język, sposób tłumaczenia się, natura i tryb objawiania się uczuć, są dla pościgających przyrodne ziemi naszéj barwy i dźwięki duchowe nieoszacowanemi wskazówkami. W pieśniach rytmy i rymy wiążące, że tak powiémy, pamięć ich przechowawców, ochroniły też pieśni od dowolnych zmian czasu, i doszły do nas tak jak wypłynęły z serca pierwszych śpiewaków; co właśnie dla literatury narodowéj najważniejszym jest przymiotem. Ale baśnie i skazki zmyślone, zdane są zupełnie na dowolność każdego bajarza, którego ponieważ jedynym celem jest dziwić i mile kołysać ciekawość słuchacza, gada więc je z zupełną swobodą i zaniedbaniem (prawie za każdą razą innemi słowy) tym samym językiem i stylem jakby rozpowiadał pierwszą lepszą awanturkę jarmarczną. Chcąc więc przenieść do piśmiennéj literatury podobne baśnie ogłosiciel, musi wszystko po swojemu opowiadać; najwierniejsze ze strony ogłosiciela opowiedzenie, będzie tylko wiernem co tr[illegible]ści, co rzeczy; ale język, forma, styl, to będzie wszystko [illegible]go. — Wartość więc względna po[illegible]wnych baśni [illegible] postępu spółczesnéj literatury, bar[illegible] naszém podrzędna, a staje się tém [illegible]dzo jest zdan[illegible] swoich szczegółach zawiera więcéj wyższą im baśń w[illegible]

podobieństwa do prawdziwych rysów człowieczych zewnętrznych i duchowych, im w swoich nie dzisiejszego utworu formach, więcéj odsłoni przyrodnych nam kształtów obrazowania uczuć. Tu to więc wszystko polega na wyborze i sposobie oddania ogłosicieli.—

Po takiém rozgraniczeniu między właściwém *podaniém* gminném a gminną *bajką*, całą naszę krytykę obecnych *Powieści Ludu* Pana Karola Balińskiego, zawrzeć możemy w dwóch słowach, a to wskazując do którego z dwóch pomienionych należą rodzajów. Powieści te, choć głosi tytuł że są spisane z podań, nie są wszakże bynajmniéj właściwemi podaniami tak jakeśmy je wyżéj pojęli; ale to są gminne skazki, *bajdy*, które sobie gmin dla zabawki, dla przyjemności słuchania wymyślił: czary, olbrzymy, wojaki, djabły, tego tutaj pełno; ale istotnych odrysów dawnego życia domowego i publicznego naszéj szlachty tak tu mało, że ich prawie nie namacasz. Wybór więc tych powieści w ich związku ze spółczesną literaturą nienajtrafniejszy; ale że wyborcą był szanowny badacz starożytności Wojcicki, chętnie więc wierzymy że to co odrzucił mniéj jeszcze było warte jak to co zostawił; to jednak wartości rzeczy zostawionych nie podniosło. Dla poety i dla dziejopisa źródło tu tak suche, że się niém nie pokrzepią; gmin tego czytać nie umié, i choćby umiał, toby bez pewnego wykształcenia tak jak tu są ogładzonych i upięknionych stylem bajek swoich nie poznał i nie zrozumiał; komuż więc ta książka do czego posłuży? oto chyba dla chwilowéj rozrywki tych czytelników a zwłaszcza czytelniczek, których lada dziecińnstwo zabawi; albo też dla wycięśnięcia z niéj kilku ogólnych rysów charakteru naszego ludu jaki się z natury jego fantazyjnych utworów zdaje odsłaniać. Temi rysami zdają nam się być wszędy cześć dla niewinności i cnoty, ukaranie podstępu i zbrodni, wierność małżeńska, miłość i poświęcenie się dzieci dla rodziców, uwielbienie męztwa i siły, czułość dla stanu sieroctwa, i t. p. Takowe skazki ludu mogą nawet, bez względu na ich mniejszy lub większy wpływ na chód literatury tworzącéj, przynieść i dla wykształconych czytelników nie pomału żywą uciechę umysłową, ale w tedy tylko kiedy je chociaż prosta, ale bujna i prawdziwie poetycka imaginacja swojemi nawiedzie farby. Takie to skazki opowiada w wielkiéj liczbie lud Ukraiński; w zbiorze Pana Balińskiego mało jest bardzo takich któreby się do tamtych choć zbliżyć mogły; jest wszakże kilka widocznie poetyczniejszych; oto jest jedna z nich, pod nazwą *Jałmużna*:

Szedł ubogi dziadek przez wieś po prośbie i wstąpił do Błażkowéj. — Ale Błażkowa tak była skąpa i chciwa, że kawałka suchego chleba nie dawszy dziadkowi, jeszcze go ofuknąwszy z izby wypędziła, nie rzeknąwszy nawet: *iżby go Pan Bóg opatrzył*; dziadek po prośbie od chałupy do chałupy chodził, i jak wyszedł od Błażkowéj, poszedł w podle do Janowéj.

Janowa to była dobra i miłosierna kobieta, jak jeno ujrzała ubogiego dziadka, zaraz dwa glonki chleba, dopiero dzieciom masłem posmarowane oderwała od gęby i onemi dziadka obdarzyła, mówiąc: by go Pan Bóg czém lepszém wspomógł, bo ona jest biedną i nic więcéj nie ma w chałupie.

Bóg zapłać miłosierna kobieto, oby cię Bóg w dziesięcioro obdarzył, obyś twoje nagie ogarnęła dzieci i była szczęśliwą, *a jak co zaczniesz dziś robić, byś do zachodu słońca ledwie skończyła.*

Tak wychodząc, mówił ubogi staruszek.

»Bóg zapłać, — Bóg zapłać!» — za błogosławieństwo dziękowała Janowa, — ale wszystkiego, co dziadek mówił dobrze nie zważała i nie rozumiała.

Janowa, biedna była kobieta i do tego wdowa, miała dwoje dzieci, które żywiła z wyrobku, gdy ubogi dziadek od niéj wyszedł jaż było po południu, a jéj dzieci nie jadły jeszcze obiadu; ani na wieczerzą nic dla nich nie miała.

Biedna Janowa dostała na wiosnę od Błażkowéj trzy zagony lnu, za które wiele dni ciężko odrobić musiała — ale odrobiła; len sobie zebrała, zmoczyła, omiądliła, wyczesała, zprzędła, wszystko jak należy sama zrobiła i z tego lnu zrobił jéj tkacz ze dwadzieścia łokci płótna—i to płótno cały swój majątek chowała na zimę, na koszule dla dzieci idla siebie.—

Jak ubogi staruszek od niéj wyszedł, taka była w domu *bieda, że ani utnij siekierą* dzieci jeść płakały i jéj się na płacz zbierało.

Niewiedziała co począć, aż przyszło jéj na myśl zanieść na przedaż do żyda z kilka łokci płótna i kupić chleba i soli. Jęła się więc do mierzenia tego płótna — dzieci się uspokoiły, a ona mierzy i mierzy, co wyciągnie na łokieć, mierzy bez końca, mierzy i mierzy i do zachodu słońca płótno mierzyła.

Ze swoich dwudziestu łokci, tysiąc łokci płótna namierzyła.

Uradowana, podziękowała naprzód Bogu, a iżby czém prędzéj posilić dzieci, nie chciała bieżyć na koniec wsi do żyda, więc wziąwszy kilka łokci płótna, sprzedała go Błażkowéj, prawda że za *psie pieniądze*, ale cóż miała robić, kiedy jéj dzieci były głodne.

Na drugi dzień w mieście był jarmark, Janowa poszła ze swojém płótnem, a że jéj płótno było dyktowne i gładkie zapłacili jéj dobrze, — i tak Janowa z przeróżnemi rzeczami i *tęgim* workiem pieniędzy z jarmarku powróciła do domu.

Nie zadługo poczciwa Janowa kupiła sobie dwie krowy kawałek pola i łączkę, przyjęła czeladkę, chwaliła Boga i pracowała.

To szczęście Janowéj, niebyło rażne Błażkowéj, a choć z sobą teraz często jadły i piły, a nawet się pokumały, Błażkowa nie była zawsze Janowéj szczera.

Jednego razu przy kieliszku wódki dopytywała się Błażkowa Janowéj, jakim téż to ona sposobem przyszła do swéj chudoby i gospodarki? — A Janowa, jak było wszystko z początku, jak do niéj przyszedł po prośbie dziadek, jak mu dała oderwane od gęby dzieciom dwa glonki chleba, jak on jéj pobłogosławił i prosił Boga, jak ona tego nie zważała, jak potém dzieci jeść płakały, jak ona chciała na chléb i sól płótno do żyda zanieść, jak to płótno mierzyła do zachodu słońca, wszystko, wszystko, wiernie Błażkowéj opowiedziała.

Błażkowa pijącdo niéj wódkę, kiedy wysłuchała, rzekła:

»O moja kochana kumo, żebyście wiedzieli, jaka téż to i umnie czasem biéda, bo to i ja mam dzieciska, a mój wystarczyć nie może, a choć i oboje pracujemy to wszystko jeno się zje — o moja kumo, jeśli ten dziadek do was kiedy zajrzy, powiedzcie mu téż, niech i do mnie wstąpi.»

Janowa dobrze każdemu życząca kobieta, Błażkowéj odpowiedziała:

»Moja kumo, jeśli go Pan Bóg do mnie ześle, bądźta pewna, że go będę prosić aby was nie minął.»

Błażkowa jeszcze kazała dać po jednym, potém się całowały, ściskały i rozeszły.

Od owego czasu może upłynął tydzień, a może nie, szedł dziadek przez wieś, ten sam dziadek co dla Janowéj o szczęście uprosił Boga i wstąpił do niéj; — ona kobiecina niewiedziała gdzie go posadzić, dziękowała mu, raczyła go i obdarzyła, — a kiedy dziadek polecał ją Bogu i wychodził, prosiła go, by jéj kumy Błażkowéj nie minął — a dziadek przyobiecał, że jak będzie zkońca wsi wracał, to i do niéj wstąpi.

Szedł ubogi dziadek, z końca wsi po prośbie, z daleka przez okno ujrzawszy go Błażkowa, nasmarowała swoim dzieciom po glonku chleba, a kiedy dziadek wstąpił do niéj, ona czémprędzéj poodrywała im chléb od gęby i ubogiemu dziadkowi oddała.

Bóg zapłać, rzekł dziadek: »abyś, jak co zaczniesz robić, do zachodu słońca ledwie skończyła»—i wyszedł. Błażkowa mając naszykowane płótno do mierzenia już wyciągnęła z kąta łokieć, i już, już mierzyć miała, kiedy dzieci pić zawołały i jéj się saméj strasznie pić zachiało — aby nie stracić wiele czasu, *na jednéj nodze* pobiegła do zdroju z konewką po wodę, ale jak przyniosła konewkę, pobiegła po drugą, jak przyniosła drugą, pobiegła po trzecią, czwartą; dziesiątą, i tak do zachodu słońca bez potrzeby wodę nosiła.

Co do sposobu w jaki ogłosiciel podań i baśni gminnych przedstawiać nam je winien, zdaje nam się iż najrozsądniejsze prawidło do zachowania jest następujące.—Polski kmiotek taki jak nim jest dzisiaj, w prostocie swojego ducha, a raczéj w ciemnocie swojego umysłu, najprostszéj nawet rzeczy, porządnie i jasno, nie dopiéroż poetycznie, opowiedzieć nie potrafi. Niech się np. kilku ludzi na jarmarku pokłóci i pobije, chłop ci tego dobrze nie opowié: będzie wtrącał mnóstwo wyrazów niepotrzebnych, będzie się ciągle powtarzał, będzie opowieść swoją tak kręcił i wikłał iż zaledwie dojdziesz wątku rzeczy. Niechajże teraz człowiek wprawny w użycie mowy będzie świadkiem tejże saméj zwady jakkolwiek w gruncie najtrywialniejszéj, a on ci ją opowié jasno i zwięźle kto się powadził? o co się zwada wszczęła! jakiemi czyny przeciwnicy gniewy swoje objawili! i na czém się zwada ukończyła. — Przepuściwszy tedy myślą że fakta baśni gminnéj miały w istocie miejsce, sposób spisania tejże baśni, do sposobu opowiadania jéj gminnego, zupełnie tak się powinien mieć jak się do siebie mają dwa dopiero co wzmiankowane opowiadania owéj przypuszczonéj bajki jarmarcznéj. — Cała wierność zależy tutaj nie na powtórzeniu literalném wszystkich słów bajarza gminnego, ale. na powtórzeniu wiernem samych faktów stanowiących wątek i materją baśni. Wszystkie zaś upięknienia i cacka stylowe, epitety, obrazki, sentymentalność, są niepotrzebne; bo wartości saméj rzeczy nie podniosą, a jakkolwiek ją misternie obrąbią, wygładzą i ukwiecą, prawdziwéj kreacji literackiéj z niéj nie uczynią. Takowe to niezręczne *obrabiania artystyczne* rzeczy gminnych zarzucali światli krytycy Panu K. Wł. Wojcickiemu tak sprawiedliwie, lecz, na nieszczęście! tak nieskutecznie. Ponieważ baśni gminnych nie to jest przeznaczenie aby w swojéj całości stanowiły dla nas tyleż oddzielnych utworów sztucznych mających w nas obudzać tegoż samego rodzaju zadowolenie co czynią na gminie, ale to, aby rozsiane w nich na różnych miejscach elementa narodowości, zlewały się umiejętnym trybem i kształtem w kreacie poetyckie wyższego natchnienia pisarzy; uszlachcać więc je stylem i zaokrąglać w swojéj całkowitości, nie tylko że jest rzeczą nieużyteczną, ale nawet szkodliwą, bo odejmuje nam wiedzę tego co w nich jest samorodnie gminném, a co ogłosiciela dodatkiém i upstrzeniém. I dla tego to jeśli opowieść bajarza gminnego ma w sobie miejsca napiętnowane, tak jak są pieśni, charakterami odwieczności, charakterami rzetelnéj puścizny spadłéj na nas od pierwotnych utworców i niezmienionéj dowolnością opowiadaczy, miejsca odsłaniające nam w swojéj czystości naturę i kształty objawiania się pomysłów i uczuć starowiecznych rodzinnych nam pokoleń, takowe miejsca trzeba jak najdosłowniéj pozostawić, i starannie podkreślać, bo te to są właśnie owe drogocenne farby *in crudo* które gieniusz na swojéj paletrze rozetrze, umiejętnie pokombinuje i twórczo ich użyje.— P. Karol Baliński zręczniéj wprawdzie od P. K. Wł. Wojcickiego baśni gminne obrobił, to jest mniej miał pretensji do zajmowania nas sobą, do poetyzowania na własną rękę; ale jednak je *obrobił*; bo jakkolwiek jest w opowiadaniu swojém gładki i prosty, co moment wszakże prawie jest tam coś nad sferę gminu, jest coś czegoby gmin nawet nie zrozumiał, w wyrażeniach, okresach i upięknieniech stylowych. Zdrugiéj zaś strony, jeżeli przez taką metodę niepodobna jest odkryć do jakiego stopnia P. Baliński z bajarzami gminnemi był jednozgodny i tożsamy, tedy owe *podkreślenia* jakie tu i owdzie czyni, nie są bynajmniéj w tym duchu jakeśmy dopiéro co sobie życzyli; owszem są wyłożonéj przez nas zasadzie wręcz przeciwne. P. Baliński albowiem podkreślił tu i ówdzie wyrazy i wyrażenia pospolite językowi dzisiejszemu naszych włościan które my wszyscy dobrze znamy; a właśnie powiedzieliśmy że nie oto idzie aby *chłopskim językiem* pewne wydarzenia opowiedzieć, ale oto, aby prostym stylem klass ukształconych samą rzecz w swojéj istocie, w swojéj treści przdstawić.

Wykazawszy słabszą stronę téj książki, wszelka sprawiedliwość wymaga, abyśmy przyznali że chęci P Balińskiego były piękne i rodzaj zatrudnienia nie pomału sprawę spółczesnéj literatury obchodzący. Nie tylko że jesteśmy dalecy od chęci odstręczenia P. Balińskiego od dalszych w podobnym rodzaju przedsięwzięć, ale go nawet usilnie do dalszéj pracy na tak obranéj drodze zachęcamy. Byle tylko wybór był lepszy i wierność spisania cokolwiek inaczéj pojęta, niewątpliwie następne tego rodzaju ogłoszenia P. Balińskiego ważne między dziełami źródłowemi zajmą miejsce. —

Wiktoryn Zieliński.